

Janusz Orlikowski

Nowy król

*Dokonane badania doprowadziły Steinerja do wniosku, że świadomość ludzka zmieniała się i rozwijała przez tysiąclecia historii kultury i że typ indywidualnej samoświadomości, który uznajemy dziś za tak oczywisty, nie istniał w czasach starożytnych. Człowiek nie czuł wówczas, że centrum jego istoty, jaźń, znajduje się w nim samym; każdy czuł się raczej częścią swego ludu i nie był w stanie pojąć własnego istnienia inaczej, jak tylko w kategoriach swego miejsca w obrębie plemienia, czy narodu. O ile w ogóle posiadał wtedy coś w rodzaju centrum tożsamości, jaźń, to spoczywało ono w centralnej postaci społeczeństwa, którą był król. Dopiero później człowiek osiągnął większy stopień indywidualizacji i zażądał duchowej autonomii, ustanawiając swoją własną osobistą relację do świata boskiego. We wczesnym okresie historii wystarczyło, że w boskie tajemnice wtajemniczony był król, ponieważ to on stanowił tożsamość każdego człowieka – pisze Andrew Welburn w książce *Początki chrześcijaństwa*, kreśląc i ujawniając źródła, których konglomerat w formie historycznej dał początek wiary w Jezusa jako Chrystusa i który to doprowadził do skryształizowania się jej podstaw. Nie jest moim zamiarem komentowanie tego dzieła, nie czuję się ani na siłach, ani nie to jest celem, gdy spoglądam na współczesny konsumpcyjny świat, jakże odległy od opisywanych przez Welburna czasów. Bo przecież spojrzmy, uzmysławia on nam olbrzymią odmienność, która charakteryzowała człowieka starożytnego w stosunku do (...) (typu) *indywidualnej samoświadomości, który uznajemy dziś za tak oczywisty (...)*. Człowiek nie czuł wówczas, że centrum jego istoty, jaźń, znajduje się w nim samym; każdy czuł się raczej częścią swego ludu i nie był w stanie pojąć własnego istnienia inaczej, jak tylko w kategoriach swego miejsca w obrębie plemienia, czy narodu.*

A jak jest tak naprawdę dzisiaj, czy może pewniej, do jakiego stadium, aż boję się napisać, nieuchronnie zmierzamy? Ktoś powie: indywidualną samoświadomość przecież już uzyskaliśmy i nikt nam przecież jej nie odbierze. To prawda i nie równocześnie. Prawda, bowiem jest ona w naszym posiadaniu. Natomiast warunki jakie oferuje nam za sprawą terroru konsumpcjonizmu współczesny, cywilizowany świat składają co najmniej do zastanowienia. Indywidualna świadomość to tyle co zdolność do odzwierciedlenia rzeczywistości i umiejętność uprzytamniania sobie własnej egzystencji. Wszeghorniającą nas dziś rzeczywistością jest wspomniany terror, o którym wiemy i bywa, że potrafimy też go odzwierciedlić. Gorzej jest, gdy przychodzi nam uprzytomnić sobie swą w nim egzystencję. Czy stawiamy mu faktyczny opór, czy też z braku innych bodźców godzimy się na niego bez zmrużenia oka. Bo i przeciw czemu tu się buntować? Że pełne półki w sklepach i jest wszystko, czego tylko, pisząc lapidarnie, dusza zapagnie? Pytania tego typu należą do tych, które są źle postawione. Przypominają one sytuację stojącego na ulewnym deszczu bez parasola. Mówi on: przecież nie zatrzymam płynącej z nieba wody.

Pytania zatem raczej powinny brzmieć: w jaki sposób się w tej sytuacji znajduję? Czy ulegam? Czy stawiam opór? Dlaczego jednak mam stawiać opór dobrom materialnym i w jaki sposób to czynić? I znów pytania postawione źle. Bo nie chodzi o to, aby wyrażać swój bunt poprzez niekorzystanie z nich, bo to niemożliwe, lecz umiejętność im właśnie nie ulegania, a to zasadnicza różnica. Ta uległość jest właśnie powodem, dla którego uprzytamnianie sobie własnej egzystencji jest dziś problemem. Człowiek współczesny przestał zastanawiać się: dlaczego żyje i po co?, jaki jest cel jego tu obecności?, co jest wartością, a co nie? I o ile jeszcze dzisiaj może potrafimy tę konsumpcyjną rzeczywistość odzwierciedlać, to znaczy wiemy, że w niej żyjemy, to podejrzewam, że wcześniej czy później będzie ona tak oczywista, że dodanie słówka „konsumpcyjny” do „świat” nie będzie już konieczne. A może już tak jest? W każdym razie nauki twórców terroru konsumpcjonizmu nie idą w las. Jesteśmy pilnymi ich uczniami. Stąd wniosek, że to co składa się na indywidualną świadomość, czyli zdolność do odzwierciedlenia rzeczywistości i uprzytamnianie sobie swej egzystencji już może nie istnieje, bądź istnieć nie będzie.

Co to oznacza i czy taki wniosek jest naprawdę słuszny? Jak mówi cytat przedstawiony na wstępie człowiek starożytny był indywidualnej świadomości pozbawiony w znaczeniu, że jeszcze się w nim nie wykrystalizowała, (...) *każdy czuł się raczej częścią swego ludu i nie był w stanie pojąć własnego istnienia inaczej, jak tylko w kategoriach swego miejsca w obrębie plemienia, czy narodu. O ile w ogóle posiadał wtedy coś w rodzaju centrum tożsamości, jaźń, to spoczywało ono w centralnej postaci społeczeństwa, którą był król.* Ci królowie – wtajemniczeni, jak ich nazywa Andrew Welburn, inaczej królowie sakralni, byli tymi, którzy poprzez odpowiednie inicjacje mieli dostęp do świata boskiego, który był niedostępny dla niewtajemniczonego społeczeństwa. *Albowiem w tamtych starożytnych czasach tylko król dzięki wtajemniczeniu mógł przebywać w obecności bogów; tylko on mógł dostąpić bezpośredniego poznania sfery boskiej, wszyscy zaś jego poddani otrzymywali łaskę, nie dzięki osobistemu doświadczeniu religijnemu, lecz dzięki temu, że »sacrum« przejawiało się poprzez niego.* Czy z czymś takim mamy do czynienia dzisiaj? Już słyszę ten śmiech i odpowiedź, że z pewnością nie. Tak, zgodzę się z tym, bo faktycznie sprawa przecież nie dotyczy wierzeń religijnych. Ale jest. Wprawdzie nie mamy dziś królów i to jeszcze wtajemniczonych, lecz euroamerykański raj, demokracja opartą na konsumpcyjnym terroryzmie. To ona jako „postać” do złudzenia przypomina sakralnego króla, a my globalnie jesteśmy jego plemieniem. Wskazują na to nasze zachowania, uległość wobec jego wyroków. Wprawdzie „król” zapewnia nas o naszej wolności, gdyż (jeszcze?) nie może nam powiedzieć, że jesteśmy jego poddanymi, z uwagi na to, co jeszcze z indywidualnej świadomości w nas pozostało,

czyli przekonanie o jej obecności. Ale to tylko przekonanie i do tego bardzo złudne. Czyż nie zachowujemy się tak jak plemię, każdy czuje się częścią swego ludu o wspólnych rytuałach naznaczonych obecnością „króla”? „Król” zapewnia nam możliwość dobrobytu materialnego, a przede wszystkim dba, by media odpowiednio nas o tym informowały, czyli poprzez „magiczne” reklamy, gdzie „wtajemniczony” mówi, że to i to przyniesie nam szczęście. Określa tym samym nasze zachowania w stosunku do „sacrum”, które przejawia się niezliczoną ilością informacji, których żywot jest krótkotrwały lub wzajemnie sprzeczny. To, że tego pojąć nie możecie, jest wynikiem waszego braku „wtajemniczenia” – mówi i dba o to, aby tak pozostało. „Wtajemniczonym” bowiem może być tylko „król”. Nasze zachowania plemienne są tym samym konsolidowane i cieszymy się, że inni robią też tak samo jak my. Określają nas te same rytuały ciągłego kupowania, jedzenia, oglądania telewizji i przeglądania stron internetowych, czytania kolorowych czasopism, a żeby to zespolenie w obrębie plemienia było jeszcze mocniejsze organizuje się masowe tzw. imprezy kulturalne, których poziom jest tak odpowiedni, aby były zrozumiałe dla wszystkich bez wyjątku członków plemienia. Tym sposobem nasza tożsamość, jaźń, spoczywa w centralnej postaci euroamerykańskiego społeczeństwa, którą jest „król”. Zwróćmy uwagę na zachowania pozostałych członków naszego plemienia w sytuacjach, gdy u innych zjawilo się nieszczęście w postaci nagłej utraty dóbr materialnych, ciężkiej choroby wymagającej sporych nakładów finansowych. Pozostali nagle się wokół nich gromadzą, pomagają i czynią to zupełnie bezinteresownie. Tak, tak, widzę oburzenie, że taki przykład wybrałem jako argument czucia się jedynie częścią plemienia bez indywidualnej świadomości. Przecież to właśnie ona daje aspekt ku tym dobroczynnym działaniom. Nic bardziej mylnego i postaram się to wyjaśnić. Oczywiście te działania są jak najbardziej chwalebne, to nie ulega wątpliwości, lecz ich źródło nie tkwi w utraconej (czy bezpowrotnie?) indywidualnej świadomości, ale właśnie jest wynikiem rytuałów plemiennych z centralną postacią „wtajemniczonego króla”. Gdyby nieszczęście nie dotyczyło utraty dóbr konsumpcyjnych w szerokim tego słowa pojęciu, czyli wraz z nakładami finansowymi na leczenie ciężkich chorób, a poza dobrami natury medialnej oczywiście, czy wtedy reakcja pozostałej części plemienia byłaby taka sama? Z pewnością nie. Ale o co by wtedy mogło chodzić? Ot, na przykład nieszczęściem jest, gdy u tych innych pojawia się całkowita utrata wiary w sens życia. Niby żyją oni obok nas, widzimy to, jednak nie czynimy żadnych dobroczynnych działań. Po pierwsze nie wiemy jakie by one mogły być, po drugie nasza „tolerancja” zakłada nie wtrącanie się w cudze życie. Czy już to samo nie świadczy o zaniku indywidualnej świadomości? Boimy się, że bardziej możemy zaszkodzić niż pomóc. Lepiej jest więc się nie wtrącać. Poza tym